



Motyw Sądu Ostatecznego w utworze Zbigniewa Herberta *U wrót doliny* i w biblijnym przekazie w Apokalipsie św. Jana

- [Wprowadzenie](#)
- [Przeczytaj](#)
- [Mapa myśli](#)
- [Gra edukacyjna](#)
- [Dla nauczyciela](#)

Bibliografia:

- Źródło: *Proszę państwa do gazu*, [w:] *Proszę państwa do gazu*, Warszawa 2008.
- Źródło: Stanisław Barańczak, *Uciekinier z Utopii. O poezji Zbigniewa Herberta*, Wrocław 1994, s. 172.
- Źródło: Wojciech Kajtoch, „*U wrót doliny*” Zbigniewa Herberta, „Koniec Wieku. Pismo Filozoficzno-Artystyczne” 1999, nr 12-13, s. 67.
- Źródło: *Apokalipsa św. Jana*.
- Źródło: Arnold Zawadzki, *Poetyckie przestanie Zbigniewa Herberta i problem jego chrześcijańskiej proveniencji*, „Łódzkie Studia Teologiczne”, nr 23/4, s. 37–38.
- Źródło: Zbigniew Herbert, *U wrót doliny*.



Motyw Sądu Ostatecznego w utworze Zbigniewa Herberta *U wrót doliny* i w biblijnym przekazie w Apokalipsie św. Jana

Hans Memling, *Sąd Ostateczny*, ok. 1470, domena publiczna

W jaki sposób poddać reinterpretacji motyw apokaliptyczny? Czy odmienna od pierwowzoru wizja końca świata jest możliwa, by nawiązanie do biblijnego motywu było nadal czytelne, a nawet na głębszym poziomie spójne z relacją Apostoła. Propozycję odpowiedzi na te pytania znaleźć można w wierszu Zbigniewa Herberta *U wrót Doliny*. Utwór nie tylko polemizuje z utrwalonym kulturowo obrazem apokalipsy, ale aktualizuje także jego uniwersalną i ogólnoludzką wymowę, odnosząc się do współczesnej poecie sytuacji politycznej.

Twoje cele

- Scharakteryzujesz cechy wypowiedzi apokaliptycznej.
- Wskażesz środki stylistyczne oraz uzasadnisz ich funkcjonalność w wierszu Zbigniewa Herberta *U wrót doliny*.
- Porównasz wizje apokaliptyczne w Apokalipsie św. Jana i w wierszu Zbigniewa Herberta, rozwiązując interaktywny quiz.

Przeczytaj

Ostatnia księga Nowego Testamentu, opisująca wizję końca świata, ostatecznej walki dobra i zła oraz panowania Królestwa Bożego, inspirowała wielu twórców: pisarzy, poetów oraz malarzy. Prorocza wizja skłania do refleksji, obfituje w znaki i symbole, a te bywają rozmaicie interpretowane. Po biblijny tekst sięgnął również współczesny polski poeta, **Zbigniew Herbert** (1924-1998), którego twórczość obfituje w liczne nawiązania do znanych mitów, **toposów** oraz **motywów** kluczowych dla rozwoju kultury europejskiej.

Geneza wiersza *U wrót doliny*

Odczytując *U wrót doliny* Zbigniewa Herberta większość literaturoznawców jest zgodna, że opisane w wierszu **apokaliptyczne** wydarzenia mają swoje źródło w doświadczeniu przez poetę okrucieństwa II wojny światowej, która doprowadziła do masowej zagłady ludności na całym globie (przez sześć lat trwania konfliktu – ponad 60 milionów ofiar).

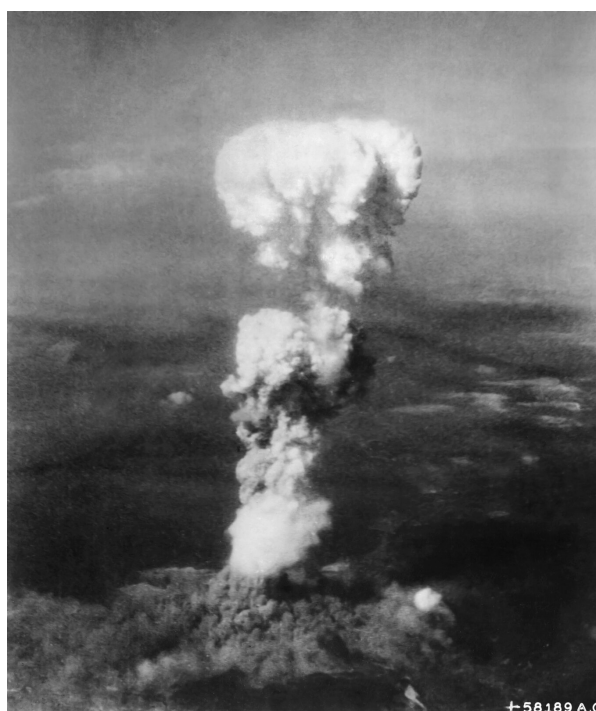
Warto przypomnieć, że w 1945 roku: 6 sierpnia w Hiroszynie oraz 9 sierpnia w Nagasaki miały miejsce jedyne w historii ludzkości ataki atomowe. Skala zniszczeń była tak ogromna, że wstrząsnęła międzynarodową opinią publiczną i przyczyniła się (według części badaczy) do zakończenia II wojny światowej na Pacyfiku. Jednak ważniejsza od liczby ofiar obu bomb, była kwestia psychologiczna. Po raz pierwszy w dziejach człowiek dysponował bronią, która w przeciągu paru sekund mogła zmieść z powierzchni ziemi duże miasto. Ta perspektywa przerażała ówczesnych polityków, działaczy, naukowców i przede wszystkim artystów. Ten niepokój, spowodowany niewyobrażalną wręcz siłą atomu, zilustrował Zbigniew Herbert w swoim wierszu.

((Wojciech Kajtoch

„U wrót doliny” Zbigniewa Herberta

W zasadzie już od początku wiemy, że mowa tu o Sądzie

Ostatecznym, że tytułowa dolina – to Dolina Jozafata. Napomknięcie



Grzyb atomowy po wybuchu bomby atomowej, Hiroszima, 1945

Źródło: domena publiczna.

o tych, którzy przyjdą z kronik, bajek i żywotów świętych oraz przypominający poezję średniowieczną gramatyczny rym pierwszych wersów (*popiołów – aniołów*) – czynią to wrażenie nieodpartym. Zarazem jednak, od razu nabieramy również podejrzeń, że mowa tu nie tylko o Sądzie Ostatecznym. Motywy: *deszczu gwiazd i łąki popiołów, świst eksplozji* oraz późniejsze napomknięcie o wcześniejszej śmierci zwierząt – czytelnikowi tomu *Hermes, pies i gwiazda* (1957), z którego pochodzi omawiany wiersz, kazały myśleć także o współczesnej wersji katastrofy ludzkości; o atomowej zagładzie.

Źródło: Wojciech Kajtoch, „U wrót doliny” Zbigniewa Herberta, „Koniec Wieku. Pismo Filozoficzno-Artystyczne” 1999, nr 12-13, s. 67.

Po zakończeniu II wojny światowej ludzkość weszła w fazę tzw. [zimnej wojny](#), której towarzyszył zmasowany wyścig zbrojeń, a co za tym idzie – groźba wybuchu III wojny światowej z użyciem broni atomowej.

((Wojciech Kajtoch

„U wrót doliny” Zbigniewa Herberta

Koniec lat pięćdziesiątych był w Polsce nieomal okresem antynuklearnej histerii – zwłaszcza że strach przed atomowym końcem wspaniale współgrał z głoszącą beznadziejność filozofią egzystencjalistyczną, która właśnie dotarła do nas i zaowocowała modą mającą swój wpływ i na *Solaris* Lema, i na film *Ostatni dzień lata* Tadeusza Konwickiego, i na ówczesną młodą „czarną literaturę” pokolenia „Współczesności”. Atomowe aluzje od razu też likwidowały możliwość jednoznacznego rozpoznania i dosłownego odczytania sytuacji zarysowanej w wierszu: wiersz nie mógł być zrozumiany jako po prostu opis Sądu Ostatecznego, skoro ujęcie owego Sądu przypominało tu współczesne cywilizacyjne niepokoje. W momencie ich rozpoznania – czytelnik mógł już potraktować ukazaną sytuację wyłącznie metaforycznie. Czego miała to być metafora? Z pewnością – przemiany. O swoistej, generalnej przemianie „stanu istnienia” ludzkości powiada przecież zapowiedź „końca świata” formalnie, dosłownie tu opisywanego. Motyw „atomowego niebezpieczeństwa” kazał jednak myśleć w 1957 roku (i każe myśleć nam – czytelnikom

współczesnym) o przemianie mogącej zająć lub wręcz zachodzącej „tu i teraz”.

Źródło: Wojciech Kajtoch, „*U wrót doliny*” Zbigniewa Herberta, „Koniec Wieku. Pismo Filozoficzno-Artystyczne” 1999, nr 12-13, s. 67.

Motyw Sądu Ostatecznego w wierszu *U wrót doliny*

Przy tak nakreślonym kontekście społeczno-politycznym widoczne jest, że Herbert celowo sięgnął po powszechnie znany motyw Sądu Ostatecznego. Jednak, żeby dostosować komunikat zawarty w wierszu do współczesnej mu rzeczywistości, pozbawił go swoistej biblijnej stylistyki na rzecz wręcz sprawozdawczego przekazu z odbywającego się końca świata.

((Stanisław Barańczak

Uciekinier z Utopii. O poezji Zbigniewa Herberta

Sceneria Sądu Ostatecznego prezentowana jest nam przez podmiot mówiący, który posługuje się stylem współczesnego sprawozdawcy radiowego, z użyciem zwrotów przypominających niemalże transmisje z meczów sportowych czy pierwszomajowych pochodów.

Źródło: Stanisław Barańczak, *Uciekinier z Utopii. O poezji Zbigniewa Herberta*, Wrocław 1994, s. 172.

Ten beznamienny „komentarz” dramatycznie przecież chwili, jaką jest zagłada atomowa ludzkości, wiąże się bezpośrednio z herbertowską desakralizacją motywu Sądu Ostatecznego.

((Arnold Zawadzki

Poetyckie przesłanie Zbigniewa Herberta i problem jego chrześcijańskiej proveniencji

Herbertowskie **antynomie** można
sprowadzić do jednej
podstawowej: sfera *profanum*
versus sfera *sacrum*. Takie
przeciwstawienie ma ukazać, że
człowiek, „sakralizując”
rzeczywistość odbieraną
zmysłami, *de facto* fałszuje jej
obraz i skazuje się na życie

w świecie ułudy. Herbert dokonuje więc w swojej poezji desakralizacji ludzkiej rzeczywistości. Nie ma żadnego *sacrum*. Jest tylko *profanum*, fascynujące, tajemnicze i do bólu teraźniejsze, wpisane w powtarzalność zachowań i rytmu przyrody. „Sakralizacja” rzeczywistości, czyli nadawanie jej znaczeń wykraczających poza widzialny świat i odnoszących ją do sfery życia nadprzyrodzonego, dokonuje się w ocenie Herberta na wielu poziomach: od ludzkiego przywiązania do osobistych wspomnień i pamięci, do religijnej wiary w głębszy sens rzeczy i wydarzeń, które w naiwnym odczuciu człowieka są objawieniem tajemnicy niepojętego świata. W wierszu *U wrót doliny*, wykorzystując motyw Sądu Ostatecznego, poeta ukazuje toksyczną siłę ludzkich złudzeń i nadziei.



Zbigniew Herbert, skan z książki Aleksandra Janty: *Lustra i reflektory*, 1982, domena publiczna

Źródło: Arnold Zawadzki, *Poetyckie przesłanie Zbigniewa Herberta i problem jego chrześcijańskiej proveniencji*, „Łódzkie Studia Teologiczne”, nr 23/4, s. 37–38.

“ **Apokalipsa św. Jana**

I piąty anioł zatrąbił:
i ujrzałem gwiazdę, która z nieba
spadła na ziemię
i dano jej klucz do studni Czełusci.
I otworzyła studnię Czełusci,
a dym się uniósł ze studni jak
z wielkiego pieca,
i od dymu zaćmiło się słońce
i powietrze. (...)

Od tych trzech plag została zabita
trzecia część ludzi,
od ognia, dymu i siarki. (...)
I rozgniewały się narody,
a nadszedł twój gniew
i pora na umarłych, aby zostali
osądzeni
i aby dać zapłatę sługom Twym
prorokom
i świętym (...)
i aby zniszczyć tych, którzy
niszczą ziemię. (...)
i ujrzałem umarłych –
wielkich i małych –
stojących przed tronem,
a otwarto księgi.
I inną księgę otwarto,
która jest księgą życia.
I osądzono zmarłych z tego, co w księgach zapisano,
według ich czynów. (...)
I ujrzałem niebo nowe i ziemię nową,
bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły
i morza już nie ma (...)
I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu:
„Oto przybytek Boga z ludźmi:
i zamieszka wraz z nimi
i będą oni Jego ludem,
a On będzie „BOGIEM Z NIMI”
I otrze z ich oczu wszelką łzę,
a śmierci już odtąd nie będzie”.

(Ap 9,1-2.18; 11,18; 20,12; 21,1.3-4)

Źródło: Apokalipsa św. Jana.



Prochor i św. Jan przedstawieni w rękopisie ewangelicznym z 1224 r. Rękopis ormiański.
Źródło: domena publiczna.

((Zbigniew Herbert

U wrót doliny

Po deszczu gwiazd
na łące popiołów
zebrali się wszyscy pod strażą aniołów

Z ocalałego wzgórza
można objąć okiem
całe beczące stado dwunogów

naprawdę jest ich niewiele
doliczając nawet tych którzy przyjdą
z kronik bajek i żywotów świętych

ale dość tych rozważań
przenieśmy się wzrokiem
do gardła doliny
z którego dobywa się krzyk

po świcie eksplozji
po świcie ciszy
ten głos bije jak źródło żywej wody

jest to jak nam wyjaśniają
krzyk matek od których odłączają dzieci
gdyż jak się okazuje
będziemy zbawieni pojedynczo

aniołowie stróże są bezwzględni
i trzeba przyznać mają ciężką robotę

ona prosi
– schowaj mnie w oku
w dłoni w ramionach
zawsze byliśmy razem
nie możesz mnie teraz opuścić

kiedy umarłam i potrzebuję czułości
starszy anioł
z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie

staruszka niesie
zwłoki kanarka
(wszystkie zwierzęta umarły trochę wcześniej)
był taki miły – mówi z płaczem
wszystko rozumiał
kiedy powiedziałam –
głos jej ginie wśród ogólnego wrzasku

nawet drwał
którego trudno posądzić o takie rzeczy
stare zgarbione chłopisko
przyciska siekierę do piersi
– całe życie była moja
teraz też będzie moja
żywiła mnie tam
wyżywi tu
nikt nie ma prawa
– powiada –
nie oddam

ci którzy jak się zdaje
bez bólu poddali się rozkazom
idą spuściwszy głowy na znak pojednania
ale w zaciśniętych pięściach chowają
strzępy listów wstążki włosy ucięte
i fotografie
które jak sądzą naiwnie
nie zostaną im odebrane

tak to oni wyglądają
na moment

przed ostatecznym podziałem
na zgrzytających zębami
i śpiewających psalmy

(*Hermes, pies i gwiazda*, 1957)

Źródło: Zbigniew Herbert, *U wrót doliny*.

Słownik

antynomia

(gr. *antinomia* – sprzeczność praw) sprzeczność między dwoma wykluczającymi się twierdzeniami, z których każde wydaje się prawdziwe i uzasadnione

apokaliptyczny

(gr. *apokaliptykós* – dotyczący apokalipsy; *apokalypsis* – odsłonięcie zasłony, objawienie, odkrycie tajemnicy) – tzn. wizyjny, tajemniczy, straszny

motyw literacki

(ang. *motive*) – podstawowy element świata przedstawionego dzieła: zdarzenie, przedmiot, cecha, sytuacja, przeżycie. Łączy się według pewnych reguł w jednostki wyższego rzędu, takie jak postać literacka, wątek, temat, fabuła

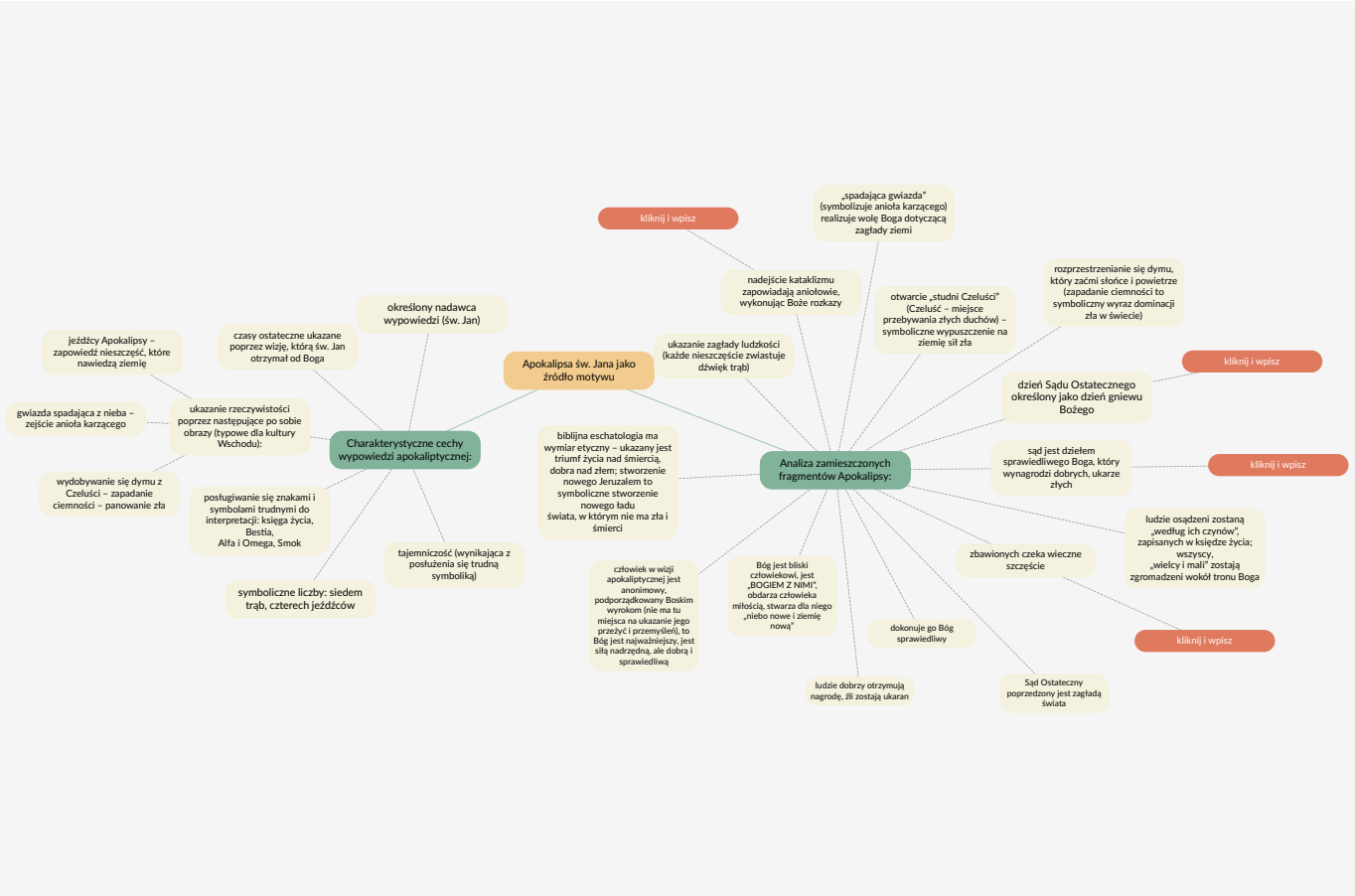
topos

(gr. *tópos koinós*, łac. *locus communis* – miejsce wspólne) – powtarzający się motyw, występujący w obrębie literatury i sztuki zbudowany na fundamencie dwu wielkich tradycji śródziemnomorskich: antycznej i biblijno-chrześcijańskiej. Wskazuje na jedność, ciągłość kulturową danego kontynentu czy na istnienie pierwotnych wzorców myślenia człowieka. Topos budowany jest na zasadzie obrazu mającego na celu opis jakiejś sytuacji (topos tonącego okrętu w Kazaniach Skargi)

Mapa myśli

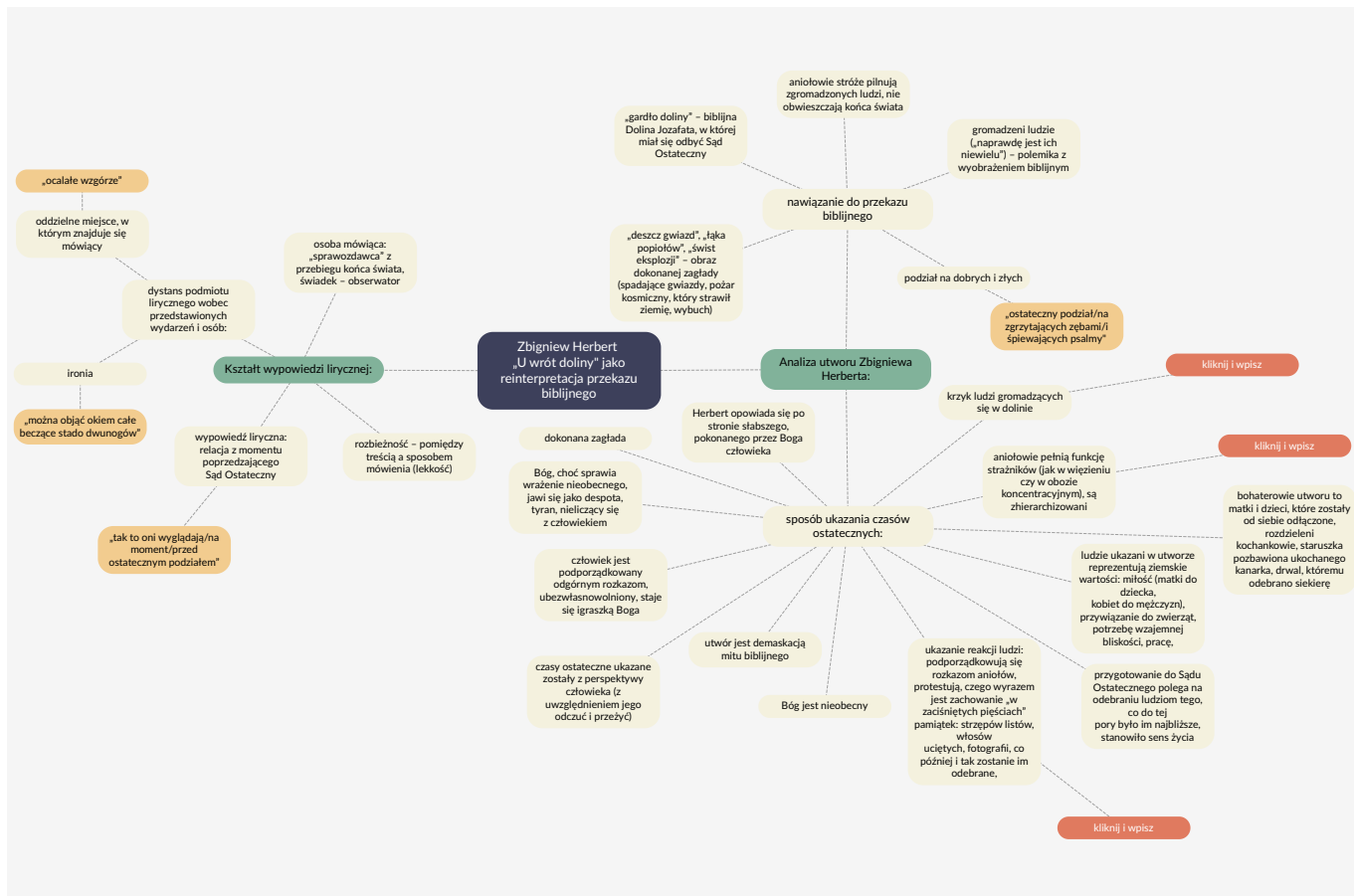
Polecenie 1

Zapoznaj się z mapą myśli dotyczącą Apokalipsy św. Jana jako motywu literackiego. Uzupełnij wyznaczone pola o cytaty z Apokalipsy św. Jana, które obrazują konkretny etap apokaliptyczny.



Polecenie 2

W poniższej mapie wpisz cytaty z wiersza Herberta dotyczące sposobu ukazania czasów ostatecznych.



Gra edukacyjna

Polecenie 1

Rozwiąż interaktywny quiz i sprawdź, czy dobrze interpretujesz i porównujesz wiersz Zbigniewa Herberta *U wrót doliny* i fragment *Apokalipsy świętego Jana*. Przed tobą 15 pytań o rosnącym poziomie trudności. Na każdą odpowiedź masz 30 sekund.



Test

Zagraj i sprawdź czy dobrze interpretujesz i porównujesz wiersz Zbigniewa Herberta "U wrót doliny" i fragment "Apokalipsy świętego Jana"

Poziom trudności:

łatwy

Limit czasu:

7 min

Twój ostatni wynik:

—

Uruchom

Polecenie 2

Zapoznaj się uważnie z wierszem Zbigniewa Herberta *U wrót doliny* i opisz, na czym polega dwudzielnosc ukazanego w nim swiata. Zwróc uwage na opozycje: dobro – zło, niebo – piekło, zbawienie – potępienie.

Ćwiczenie 1

W wierszu *U wrót doliny* Zbigniewa Herberta zaznacz kolorem zielonym epitety i omów ich funkcjonowanie w wartościowaniu zachowania ludzi i aniołów w scenie końca świata.

 zielony

Zbigniew Herbert

U wrót doliny

Po deszczu gwiazd
na łące popiołów
zebrali się wszyscy pod strażą aniołów

z ocalałego wzgórza
można objąć okiem
całe beczące stado dwunogów

naprawdę jest ich niewielu
doliczając nawet tych którzy przyjdą
z kronik bajek i żywotów świętych

ale dość tych rozważań przenieśmy się wzrokiem
do gardła doliny z którego dobywa się krzyk

po świcie eksplozji
po świcie ciszy
ten głos bije jak źródło żywej wody

jest to jak nam wyjaśniają
krzyk matek od których odłączają dzieci
gdyż jak się okazuje
będziemy zbawieni pojedynczo

aniołowie stróże są bezwzględni
i trzeba przyznać mają ciężką robotę

ona prosi
– schowaj mnie w oku
w dłoni w ramionach
zawsze byliśmy razem
nie możesz mnie teraz opuścić
kiedy umarłam i potrzebuję czułości

starszy anioł
z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie

staruszka niesie
zwłoki kanarka
(wszystkie zwierzęta umarły trochę wcześniej)
był taki miły – mówi z płaczem –
wszystko rozumiał
kiedy powiedziałam
głos jej ginie wśród ogólnego wrzasku

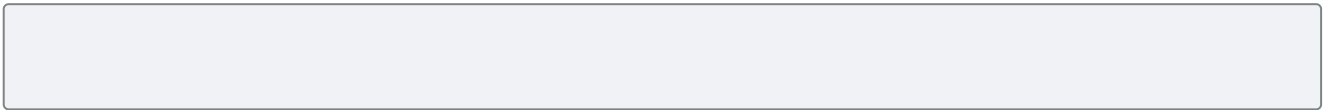
nawet drwal
którego trudno posądzić o takie rzeczy
stare zgarbione chłopisko
przyciska siekierę do piersi
– całe życie była moja
teraz też będzie moja
żywiła mnie tam
wyżywi tu
nikt nie ma prawa
– powiada –
nie oddam

ci którzy jak się zdaje
bez bólu poddali się rozkazom

idą spuściwszy głowy na znak pojednania
ale w zaciśniętych pięściach chowają
strzępy listów wstążki włosy ucięte
i fotografie
które jak sądzą naiwnie
nie zostaną im odebrane

tak to oni wyglądają
na moment
przed ostatecznym podziałem
na zgrzytających zębami
i śpiewających psalmy

Wiersz z tomu *Hermes, pies i gwiazdacyt.* za: Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane*, opracowanie edytorskie R. Krynicki, Kraków 2008, s. 81-83.



Ćwiczenie 2

Na podstawie opowiadania *Proszę państwa do gazu* Tadeusza Borowskiego oraz wiersza Zbigniewa Herberta *U wrót doliny* zredaguj notatkę o sposobie ukazywania w literaturze zbrodniczych mechanizmów totalitaryzmu.

Tadeusz Borowski *Proszę państwa do gazu* - tekst opowiadania

“ *Proszę państwa do gazu* ”

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwszenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truć wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko bloki, odgródzone od nas hiszpańskimi kozłami, nie „wyfasowały” jeszcze ubrań, to jednak i ci, i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL — tam też odwszawiali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków — właśnie kotłują się na „wizach”, drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów stoją puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część Kanady zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmenze, jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy można upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Fiedlerowska, żywicą, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet, zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie, beztrosko machając nogami. Rozkładamy biały, przemyślnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to nie pleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strasburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami*, jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda?

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane z podwójną podeszwą, a o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzuciłem złośliwie. — Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

— Nie gadałbyś głupstw — usta otyłego, o uduchowionej jak z miniatur *Coswaya* twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbyś głupstw — powtórzył, przełykając z wysiłkiem („poszło, cholera!”) — nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali w lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

— To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale Ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, organisation z transportów, tobyście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dalibyśmy wam.

— Dalibyście albo byście zdychali z głodu jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać? Pewnie, nie ma o co się

sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sałatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Łażą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że „*versuchte Pferde*” — zarażone konie, należy odstawiać tam a tam) przemieniają w miły (*gemütlich*) dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieźdzą się na dolnych pryczach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzielinami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym dole — rabin; nakrył głowę kawałkiem szmaty oddartej z koca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zawodząc głośno i monotennie.

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy złązić. Niech się drze, prędzej do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem.

— Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie? Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada: — Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy.

Kończyliśmy właśnie wyżerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, odskoczyli muzułmani i rzucili się, uciekając, między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wyszedł blokowy.

— Kanada! *Antreten!* Ale szybko! Transport przychodzi!

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri, zeskakując z buksy. Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę, wrzasnął „*raus*” do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych buksach. Kanada odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst**!* — odkrzyknął mi już z dworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bacutilu” (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlałem z buksy.

Was ist los?— *Platz!* — wrzasnąłem, przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

— *Allez, allez, vite, vite!*

— *Was ist los* **?

— Chcesz iść z nami na rampę?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem — i wypchnął mnie z bloku.

Stanęliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął „marsz, marsz” i podbiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzono bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab!* — Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę rażno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esman, z wielką tabliczką w ręku, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!* — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt* **! — odkrzyknęto ochryple od czoła.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi, z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: nie zamieszkany lager C, czeski, kwarantanna, zagłębialiśmy się między grusze i jabłonie *truppenlazarettu*; wśród nieznajomej, jakby z księżycza zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybujałej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linię wielkiej postenketty, biegiem wpadamy na szosę — jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął mały drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stosy szyn, podkłady kolejowe, zwały desek, części baraków, cegły, kamienie, kręgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwykły dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się! — Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zapłatało się ich paru, diabli wiedzą, jakim sposobem) myszkuje wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe butki, nie dojedzone sardynki. Jedzą.

— *Schweinedreck* — splota na nich młody, wysoki post, o bujnych płowych włosach i niebieskim, marzącym spojrzeniu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To było — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henriego. — *Pass mal auf*, chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiedział fachowo Francuz. — *Schade*, szkoda. — Ależ *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel?*

— Sto. *Gemacht?*

— *Gemacht*.

Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

— Te, uważaj — mówi Francuz, odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach — forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholere ci forsa, i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz, ale tylko jedwabną

i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie radę, i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją? — Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen*.

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami jak wielkie, nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaaferowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwiękania.

Transport kommen, alles krematorium, compris— Was wir arbeiten?

— pytają.

— Niks. *Transport kommen, alles krematorium, compris?*

— *Alles verstehen* — odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Vorarbeiterzy dzielili sobie grupy, przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjąć mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę. Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie trzcinowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną — „*Sudetenquelle*”, a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrząsali prawice, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszczały na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu, leniwie i obojętnie

patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zielen drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę dalekiego kościółka, z której dzwoniono właśnie na spóźniony Anioł Pański.

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku wychylił się, zamachnął ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie, blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przerażone kobiety, mężczyźni, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głucho, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwyciły rozpaczliwie powietrze. Zacerpnąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przełożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiono pod nie stołki, rozstawiono się fachowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

Jawohl!Jawohl!— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden?*

— *Jawohl!* — wrzaśnięto nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also los**!* Do pracy!

Szczęknięty rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga: Wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko. Wszystkie te swoje klamoty składać koło wagonu na kupę. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na żwir, niespokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście? — Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i oporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrywa się z rąk, ściąga się palta, kobietom wyrywa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten* — szczeka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli. — Mówi dobrotliwie, a cienka trzcina gnie mu się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłośnie, przechodząc, i rażniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę. Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło: „mame!e!”
— taka mała, rozczochrana dziewczynka...

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które, padając, otwierają się i wysypują barwne tęczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznieją zwały szynki, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet oplakujących dzieci, i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wpierw będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru roztopia się w słońcu. Niezmordowanie jeździ karetka Czerwonego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesięciu, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notatnikiem w ręku; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein*. Kreski pęcznieją w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko: „Z Salonik”, „ze Strasburga”, „z Rotterdamu”. O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin”. Ale na stałe uzyska nazwę

„Będzin — Sosnowiec”. Ci, którzy pójdą z tego transportu na lager, dostaną numery: 131 — 132. Rozumie się tysiące, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak: „131 — 132”.

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał Verbrecher-Stadt — „Miasto Przestępców”. Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z Zachodu i Południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung, Bewegung* — otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wewnątrz.

— *Rein*. Oczyszczyć!

Wskakuje się do środka. Porozrzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaaferowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litość boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer.
— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— Chodź, dam ci się napić. Wyglądasz, jakbyś miał rzygać. *En avant*, pod szyny, chodź!

Patrzę, twarz ta skacze mi przed oczyma, rozplywa się, miesza się, olbrzymia, przezroczysta, z drzewami nieruchomymi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, *compris* — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać!

Żrą wszystko, co im pod rękę wliwie; przy mnie zjadł jeden stoik marmolady.

— Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drżenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszony psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podtaczają się, stosy łachów, waliz i plecaków rosną, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znow podchodzą wagony, znow ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem, czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleń drzew, które kołyszają się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować kłamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie, wzniecając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojni esmani, świecąc srebrem na kołnierzach. Połyskują glansem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały czas, wysuszona, bezpierzna, koścista. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesła w tył i związała w „nordycki” węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnice. Chodzi z kąta w kąt rampy z przylepionym na wyschłe wargi szczurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL-u, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono od aut i te pójda piechotą — na lager. Nasi chłopcy, fryzjerzy z zauny, pozbawią je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc klamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, rżnie, co się da, nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytałem jakieś zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty...

— *Gib hier* — spokojnie mówi esman, nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną, pustą, i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżarzoną słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydliwie nie zostało”, i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy — nareszcie! — w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz kupi znów od posta?), zza zakrętu słychać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwiszduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wrywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściąga się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: — Mamo, mamo!

— Kobieto, weźże to dziecko na ręce!
— Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojedą autem, które pójda pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mamo, nie uciekaj!
— To nie moje, nie moje, nie!...

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

— *Ach, ty, jebit twoju mat', blad' jewrejskaja!* To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! —

Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.
— *Gut gemacht*, tak należy karać wyrodne matki — rzekł esman stojący przy samochodzie. — *Gut, gut* Ruski.
— Mołczy! — warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parła ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir i spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce,

poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą?

Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogoloną głową, watowane sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydlawsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nic, nawet popiołów swoich nie wyniesie na [postenkettę](#), nie wróci do tamtego życia.

„Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą” — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobnutkiej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.

Milczałem.

Zacisnęła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemóc

wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręcani w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzcina po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esmana, wymykam mu się i mieszam się w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów włożę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzezi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa: olbrzymią, opuchniętą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zabłąkane dzieci, które płaczą się po wszystkich kątach rampy, wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówki. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowycze, wyje. Szofer zapuszcza motor, odjeżdża.

— *Halt! halt!* — wrzeszczy z daleka esman. — Stój, stój, do cholery!

Włoką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonnie zawodzi: „*Ich will mit dem Herm Kommandanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem.” Powtarza to ze starczym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony, wciąż rzezi: „*Ich will mit dem...*”

— Człowieku, uspokój siebie, ale! — woła do niego młody esman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał

z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu:
„*Heil Hitler!* „

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy cieką jej po twarzy, szepce żałośnie: „Panowie, to boli, boli...” Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiaździsty. Leżymy na szynach, jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemiczne lampy, za kręgiem światła rozciąga się nieprzenikniona ciemność. Krok w nią, i człowiek znika bezpowrotnie. Ale oczy postów patrzą uważnie. Automaty są gotowe do strzału.

- Wymieniłeś buty? — pyta mnie Henri.
- Nie. — Czemu?
- Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!
- Już po pierwszym transporcie! Pomyśl, ja — od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.
- I co im mówisz?
- Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłonią, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

- Henri, na co my czekamy?
- Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.
- Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.
- Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! — Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.
- Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał. Będiesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.
- Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów antreten, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser! Luft!* Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotennie, piskliwie. Dusząc się — dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiła. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

— *Ausladen!* — rozległ się głos esmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wyładowywać! — i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem rękę trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławilo gardło. Mdłości zgmiotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę... Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że

rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrznościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kiszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium. Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, klamoty są załadowane. Kanada objuczona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszcza komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu zjadał jego szynki i kiełbasy, konfitury i owoce, pił jego wódkę i likiery, będzie chodził w jego bieliźnie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec-Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyste, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

- *Und morgen die ganze Welt...* — śpiewają na całe gardło.
- *Rechts ran!* Na prawo! — pada od czoła komenda.

Usuwamy się im z drogi.

Źródło: *Proszę państwa do gazu*, [w:] *Proszę państwa do gazu*, Warszawa 2008.

Dla nauczyciela

Autor: Maria Gniłka-Somerlik

Przedmiot: Język polski

Temat: Motyw Sądu Ostatecznego w utworze Zbigniewa Herberta *U wrót doliny* i w biblijnym przekazie w Apokalipsie św. Jana

Grupa docelowa:

Szkoła ponadpodstawowa, liceum ogólnokształcące, technikum, zakres podstawowy

Podstawa programowa:

Treści nauczania – wymagania szczegółowe

Zakres podstawowy

I. Kształcenie literackie i kulturowe.

1. Czytanie utworów literackich. Uczeń:

- 1) rozumie podstawy periodyzacji literatury, sytuuje utwory literackie w poszczególnych okresach: starożytność, średniowiecze, renesans, barok, oświecenie, romantyzm, pozytywizm, Młoda Polska, dwudziestolecie międzywojenne, literatura wojny i okupacji, literatura lat 1945–1989 krajowa i emigracyjna, literatura po 1989 r.;
- 2) rozpoznaje konwencje literackie i określa ich cechy w utworach (fantastyczną, symboliczną, mimetyczną, realistyczną, naturalistyczną, groteskową);
- 3) rozróżnia gatunki epickie, liryczne, dramatyczne i synkretyczne, w tym: gatunki poznane w szkole podstawowej oraz epos, odę, tragedię antyczną, psalm, kronikę, satyrę, sielankę, balladę, dramat romantyczny, powieść poetycką, a także odmiany powieści i dramatu, wymienia ich podstawowe cechy gatunkowe;
- 4) rozpoznaje w tekście literackim środki wyrazu artystycznego poznane w szkole podstawowej oraz środki znaczeniowe: oksymoron, peryfrazę, eufonię, hiperbolę; leksykalne, w tym frazeologizmy; składniowe: antytezę, paralelizm, wyliczenie, epiforę, elipsę; wersyfikacyjne, w tym przerzutnię; określa ich funkcje;
- 5) interpretuje treści alegoryczne i symboliczne utworu literackiego;
- 6) rozpoznaje w tekstach literackich: ironię i autoironię, komizm, tragizm, humor, patos; określa ich funkcje w tekście i rozumie wartościujący charakter;

9) rozpoznaje tematykę i problematykę poznanych tekstów oraz jej związek z programami epoki literackiej, zjawiskami społecznymi, historycznymi, egzystencjalnymi i estetycznymi; poddaje ją refleksji;

11) rozumie pojęcie motywu literackiego i toposu, rozpoznaje podstawowe motywy i toposy oraz dostrzega żywotność motywów biblijnych i antycznych w utworach literackich; określa ich rolę w tworzeniu znaczeń uniwersalnych;

13) porównuje utwory literackie lub ich fragmenty, dostrzega kontynuacje i nawiązania w porównywanych utworach, określa cechy wspólne i różne;

14) przedstawia propozycję interpretacji utworu, wskazuje w tekście miejsca, które mogą stanowić argumenty na poparcie jego propozycji interpretacyjnej;

15) wykorzystuje w interpretacji utworów literackich potrzebne konteksty, szczególnie kontekst historycznoliteracki, historyczny, polityczny, kulturowy, filozoficzny, biograficzny, mitologiczny, biblijny, egzystencjalny;

Kształtowane kompetencje kluczowe:

- kompetencje w zakresie rozumienia i tworzenia informacji;
- kompetencje cyfrowe;
- kompetencje osobiste, społeczne i w zakresie umiejętności uczenia się;
- kompetencje obywatelskie;
- kompetencje w zakresie świadomości i ekspresji kulturalnej.

Cele operacyjne. Uczeń:

- przedstawia genezę powstania wiersza *U wrót doliny* Zbigniewa Herberta;
- zestawia wiersz Z. Herberta z biblijną wizją apokaliptyczną;
- analizuje warstwę stylistyczną wiersza Z. Herberta;
- wyjaśnia, w jaki sposób Z. Herbert przedstawił wizję czasów ostatecznych, a także porównanie do czasów totalitarnych.

Strategie nauczania:

- konstruktywizm;
- konektywizm.

Metody i techniki nauczania:

- ćwiczeń przedmiotowych;
- z użyciem komputera;
- odwrócona klasa.

Formy pracy:

- praca indywidualna;
- praca całego zespołu klasowego.

Środki dydaktyczne:

- komputery z głośnikami, słuchawkami i dostępem do internetu;
- zasoby multimedialne zawarte w e-materiale;
- tablica interaktywna/tablica, pisak/kreda;
- telefony z dostępem do internetu.

Przebieg lekcji

Przed lekcją

Lekcję można przeprowadzić w formie lekcji odwróconej, dlatego też uczniowie powinni przeczytać przed zajęciami sekcje: „Wprowadzenie” i „Sprawdź się”.

Faza wprowadzająca

Fazę wprowadzającą nauczyciel rozpoczyna od sprawdzenia wiedzy uczniów na temat motywów apokaliptycznych i treści Apokalipsy św. Jana. Po ogólnoklasowej dyskusji na ten temat nauczyciel zapisuje temat lekcji na tablicy.

Faza realizacyjna

Uczniowie pracują z pierwszym multimedium („Mapa myśli”). Zastanawiają się nad motywami występującymi w Apokalipsie św. Jana. Następnie do drugiej mapy myśli wpisują cytaty pochodzące z wiersza Herberta. W następnym kroku uczniowie rozpoczynają grę edukacyjną sprawdzającą umiejętność zestawiania dzieł literackich (w tym przypadku wiersz Herberta z Apokalipsą św. Jana). Dodatkowo wykonują przyporządkowane dwa polecenia i pierwsze z ćwiczeń.

Faza podsumowująca

W fazie podsumowującej uczniowie wykonują drugie ćwiczenie przyporządkowane do multimedium „Gra edukacyjna”. Porównują sposób ukazywania w literaturze zbrodniczych mechanizmów totalitaryzmu w wierszu Herberta *U wrót doliny* i opowiadaniu T. Borowskiego *Proszę państwa do gazu*.

Lekcję można uzupełnić o przedstawienie uczniom deklamacji aktorskiej wiersza (dostępne w internecie). Uczniowie mogą podzielić się swoimi wrażeniami z odbioru interpretacji głosowej.

Materiały dodatkowe:

- Franaszek Andrzej, *Ciemne źródło. O twórczości Zbigniewa Herberta*, Londyn 1998.

- Karwowska Marzena, *Symbole Apokalipsy. Studia z antropologii wyobraźni*, Warszawa 2011.

Wskazówki metodyczne

- Uczniowie mogą wykorzystać multimedium „Mapa myśli” do przygotowania się do lekcji powtórkowej.